



WORLD  
**WARCRAFT**  
LEGION

BLIZZARD ENTERTAINMENT

# Ciemne zwierciadło

## *Opowiadanie Steve'a Danusera*

*Nathanos Marris zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze nosem, złamanym już tyle razy, że stracił rachubę. W nieruchomym, wilgotnym powietrzu czuć było delikatny powiew jesieni, który mieszał się z aromatem dzikich kwiatów kwitnących między kamieniami wyznaczającymi ścieżkę do domu. To był dobry zapach. Znajomy, ziemisty. Nathanos przysiągł sobie, że już nigdy się od niego nie oddali.*

*Generał tropicieli zbliżyła się do niego bezszelestnie, jakby stopami nie dotykała ziemi. Jak zawsze, Sylwana Bieżywiatr roztaczała wokół siebie woń różanych ogrodów z jej rodzinnych stron, ojczyzny wysokich elfów. Nathanos wszędzie rozpoznałby ten zapach.*

*Przez długą chwilę mężczyzna stał w ciszy, rozkoszując się jej towarzystwem. Słyszał było jedynie śpiew ptaków, radośnie witających zachód słońca, oraz beczenie owiec, które pasły się tuż za niskim, drewnianym płotem; to ogrodzenie pomógł zbudować ojcu jako mały chłopiec.*

*Otworzył oczy. Z niewielkiego wzniesienia, na którym stali, mógł objąć wzrokiem całe Marris. Dom, w którym przeżył większość swoich lat. Stodoły czekające na wzmocnienie przed zimą. Pszenicę, wkrótce gotową do zbiorów.*

*Dom.*

*Nathanos uwielbiał ten widok. Napawał go dumą. Być może dlatego pozwolił chwili trwać, zanim brutalnie ją ukrócił.*

*– Nie powinnaś tu być – burknął.*

*– Pięknie się witasz ze swoją dowódczynią – odrzekła Sylwana, zwracając ku niemu twarz. Choć na jej ustach igrał lekki uśmiech, w oczach kobiety lśniła nieugięta stal. Ubrana w barwioną na niebiesko skórę, z ozdobnym łukiem przewieszonym przez plecy, sprawiała, że czuł się nie na miejscu ze swoją skołtunioną brodą i sfatygowanym strojem roboczym.*

*Nathanos pokręcił głową. – Dobrze wiesz, o czym mówię, Sylwano. Odkąd awansowałaś mnie na lorda tropicieli, ze strony Obieżyświatów ciągle słyszę pretensje. Twoje wizyty nie umknęły ich uwadze, a ci niby szlachetni tropiciele mieli ozorami jak praczki nad potokiem.*

*Sylwana odrzuciła do tyłu błękitny kaptur, pozwalając długim, bladozłotym włosom swobodnie opaść na ramiona. – Nie sądziłam, że przejmujesz się tym, co inni o tobie myślą*

– słowa elfki wręcz ociekały udawanym współczuciem, wystawiając na próbę jego determinację.

Nathanos zacisnął szczęki we frustracji. Sylwana tak bardzo przyzwyczyła się do jego szorstkości, że po prostu ją ignorowała. Drażniło go to. – O mnie niech mówią, co chcą. Ale ty nimi dowodzisz, Sylwano. Nie możesz pozwolić, aby stracili do ciebie szacunek.

Sylwana odgarnęła z oczu Nathanosa parę kasztanowych kosmyków. – Jako generał tropicieli mam obowiązek przyjmować sprawozdania od moich zwiadowców w terenie. A skoro wolałeś zaszyć się w dziczy Lordaeronu zamiast służyć w Quel'Thalas, nie mam wyjścia – muszę od czasu do czasu do ciebie zajrzeć.

Nathanos wzruszył ramionami. – To odosobnienie wychodzi mi na dobre. Nie mam cierpliwości do intryg twoich rodzinnych stron. Tutaj mogę swobodnie pomyśleć... po prostu odetchnąć. To proste przyjemności, ale nie wyobrażam sobie, że mógłbym się nimi cieszyć w cieniu tych waszych pradawnych wież.

– Lor'themar mówi, że chowasz się tu, bo onieśmielają cię elfi łucznicy – rzekła Sylwana, unosząc brew.

– Lor'themar Theron jest głupcem! Bardziej nadaje się na polityka niż na tropiciela. Mogę się z nim zmierzyć, kiedy tylko zechce. Zobaczmy, kto ma lepsze oko. – Nathanos chciał powiedzieć więcej, ale powstrzymał się. Jego wzburzenie bawiło Sylwanę, a nie chciał dawać jej więcej powodów do satysfakcji.

– Przyjmuję z ulgą twoje wyjaśnienie. Obawiałam się, że może znudziło cię moje towarzystwo. – Zachodzące słońce oświetliło harmonijne rysy twarzy elfki, rozbłyskując złotem w jej niebieskoszarych oczach. Wyglądała w tym momencie tak olśniewająco, że Nathanos mógłby przysiąc, iż to jakieś zaklęcie lub urok, które Sylwana trzyma na podorędziu, aby kierować rozmowę na właściwe tory lub rozpraszać przeciwników.

Oczywiście, dopięła swego. Zanim zdążył się powstrzymać, już łechtał jej próżność.

– To nie tak, że cię tu nie chcę, Sylwano. Ale twoi tropiciele potrzebują dowódcy – i to blisko, zwłaszcza w tych ponurych czasach.

Elfka zmarszczyła brew. – Wkrótce twoje życzenie się spełni. Mam się spotkać z moją siostrą, Allerią. Jest przekonana, że orkowie ostrzą sobie zęby na Quel'Thalas i mogą niedługo zaatakować. Jeśli jej obawy okażą się uzasadnione, być może zostaniesz wezwany do obrony Srebrnej Luny, czy ci się to podoba, czy nie.

Dotknął ramienia kobiety i przyciągnął ją do siebie. – Sylwano, wiesz, że wypełnię mój obowiązek –

Nim zdołał powiedzieć więcej, z pola dobiegły ich rozemocjonowane okrzyki. – Nathanosie! – zawołał nadbiegający chłopiec, machając rękami i strasząc owce, które rozbiegły się w popłochu. Kiedy mógł ich już lepiej dostrzec, zatrzymał wzrok na pięknej

*elfce i rozwarł szeroko buzię. Prawie spadł, gramoląc się na drewniane ogrodzenie. Podszedł do nich i stanął zaledwie o krok przed kobietą.*

*– Sylwano Bieżywiatr, generale tropicieli – rozpoczął oficjalnie Nathanos – pozwól, że przedstawię ci mojego kuzyna, Stefona Marrisa. Liczy sobie zaledwie dziewięć wiosen, ale jak pewnie zauważyłaś, już dorównuje mi brakiem manier. – Słyszac te słowa, Stefon oblał się rumieńcem. Nathanos rzucił mu ciężkie spojrzenie, powstrzymując uśmiech. Lubił chłopca, którego włosy i rysy twarzy tak bardzo przypominały jego własne. To dzięki niemu ciągle pamiętał, że na świat można patrzeć z pełnym zachwytem i zadziwieniem.*

*– Przesadzasz, Nathanosie – powiedziała Sylwana, kucając, aby zrównać się z chłopcem, którego obdarzyła ciepłym uśmiechem. – Jestem pewna, że wyrośnie na cywilizowanego mężczyznę, mimo twojego zgubnego wpływu.*

*– Jesteś... Jesteś tropicielem, pani? Jak mój kuzyn? – wymamrotał Stefon, przyglądając się kobiecie oczami wielkimi jak spodki.*

*– Nie, chłopcze. Sylwana jest kimś ważniejszym. Dowodzi wszystkimi tropicielami na tych ziemiach – wyjaśnił Nathanos.*

*Stefon spoglądał niepewnie to na niego, to na nią, i wytężał swój mały rozumek, aby znaleźć coś mądrego do powiedzenia.*

*Elfka nachyliła się do dziecka i spytała konspiracyjnym szeptem: „Czy też chcesz zostać tropicielem, jak dorośniesz?”*

*Kuzyn Nathanosa pokręcił głową, z całą energią właściwą młodemu wiekowi. – Nieee, chcę zostać rycerzem! Będę miał lśniącą zbroję, wielki miecz i własny zamek! Nie chcę przesiadywać w krzakach i strzelać z łuku. – Nagle ogarnęła go panika. – Ale to nie tak, że tropiciele... Znaczą się... To byłby zaszczyt ci służyć, pani generał!*

*Sylwana zaśmiała się cicho i melodyjnie. Nathanos westchnął, zaciskając zęby. – Robi się późno, Stefonie. Daj już spokój mojej dowódczyni i zmykaj do domu.*

*Nim chłopiec ruszył przed siebie, Sylwana z istic kocią gracją chwyciła go za rękę. – Weź to – powiedziała, wciskając mu w dłoń złotą monetę – i przechowuj, aż twój kuzyn uzna, że przyszedł czas na zakup pierwszego miecza.*

*Stefon wyszczerzył się tak mocno, że mógłby swoim uśmiechem rozświetlić całe pola Marrisa. – Dziękuję ci, pani! Dziękuję! – Wskoczył na ogrodzenie, wspiął się na drugą stronę i pognał przez łąkę. Znow wparował w stado owiec, które rozbiegły się, becząc donośnie. – Będę miał własny miecz! – wykrzyknął, nie zważając na brak rozmówcy.*

*– Świetna robota – burknął Nathanos, pocierając ręką brodę. – Będę teraz w kółko słuchał o tej monecie.*

*Sylwana wyprostowała się. Odprowadzała Stefona wzrokiem, aż zniknął za pagórkiem. – Chłopakowi po prostu trzeba kogoś, kto w niego uwierzy – powiedziała. – Jak każdemu z nas. – Słyszac nutę smutku w jej głosie, Nathanos zaczął się zastanawiać, jaka była w dzieciństwie.*

*Trwali przez chwilę w ciszy, patrząc, jak za horyzontem znikają ostatnie promienie słońca. Świergot ptaków przeszedł już w brzęczenie owadów, gdy wznowili rozmowę.*

*– Kiedy wracasz do siebie? – zapytał w końcu.*

*Sylwana postąpiła mu ledwie widoczny uśmiech. – Myślę, że z rana. Jest już późno, a ty jesteś winien dowódczyni ciepły posiłek... i swoje towarzystwo. – Ruszyła w stronę domu. Mijając Nathanaosa, musnęła palcami grzbiet jego dłoni.*

*Na moment jego myśli odpłynęły do niekończących się intryg politycznych Srebrnej Luny, pogardliwych komentarzy Lor'themara Therona i widma inwazji Hordy. Z jednej strony pragnął spokojnego życia, takiego, jakie wiedli jego ojciec i dziad, uprawiając ziemię w Marris. Mógł odejść od Obieżyświatów i dokonać żywota tutaj, w rodzinnym gospodarstwie. W domu. Ale musiałby wtedy poświęcić coś znacznie cenniejszego niż stanowisko lorda tropicieli.*

*Gdy stopy poniosły go wydeptaną ścieżką do domu, gdzie czekało na niego ciepło paleniska, wiedział już, jaką podejmie decyzję. Niech Otchłań pochłonie politykę i cały świat! Złożył Sylwanie obietnicę. Będzie trwał u jej boku i żadna siła go od tego nie odwiedzie.*

\* \* \*

– Skąd to wahanie, mój czempionie?

Gryząca niecierpliwość pobrzmiewająca w głosie Sylwany wyrwała Nathanaosa z delikatnych objęć wspomnień. Rzadko kiedy rozmyślał o przeszłości. Tamto życie należało do kogoś innego, kogoś, kto zginął wiele lat temu. Wszystko, co niegdyś określało go jako człowieka – dom, rodzina, obowiązek – straciło wszelkie znaczenie dla istoty, którą się stał. Teraz był Heroldem Plagi. Jednym z Porzuconych. I nie był już podkomendnym elfiej generał tropicieli.

Służył Królowej Banshee.

– Nie pojmuję, jaki to ma cel. – Na moment zdumiało go ciężkie, chrapliwe brzmienie własnych słów, które niosły się po kamiennych ścianach królewskich kwater. Czyżby spodziewał się, że z jego ust wydobędzie się ludzki głos? Myślenie godne sentymentalnego głupca!

– Rytuał sprawi, że będziesz silniejszy – odrzekła. Jej oczy załśniły czerwienią, gdy przechadzała się niespokojnie po podeście umieszczonym w samym środku rozległej, kolistej komnaty. – Skoro Legion zapuszcza się na ziemię Hordy, mój czempion musi być potężny.

Nathanos odwrócił wzrok od Sylwany, kierując go na nieustępliwą val'kyrię, unoszącą się w powietrzu tuż za plecami królowej. Rozpostarte skrzydła zjawy wypełniały niemałą przestrzeń między dwiema spośród wielu masywnych kolumn okalających podwyższenie. W Podmieście, siedzibie jego królowej, roiło się od duchów i innych koszmarnych stworzeń. Jednak to właśnie przez val'kyrie, o obliczach skrywanych przez ciężkie hełmy, czuł się nieswojo. Powiadano, że nieugięte wrykulskie wojowniczkę służyły niegdyś jako strażniczki umarłych. Prowadziły dusze poległych w honorowej walce na odpoczynek. Ale tę val'kyrię, podobnie jak jej siostry, ujarzmił Król Licz. Miały zbudować armię dla potwora, który zgładził Sylwanę Bieżywiatr i skazał ją na żywot nieumarłej.

To nagłe ukłucie nieufności wobec val'kyrii zrodziło pewną myśl. Czy królowa mądrze postąpiła, przeciągając te istoty na swoją stronę po porażce Króla Licza? Szybko zbeształ się za tę wątpliwość i zdławił ją w ząłżku. Val'kyrie raz za razem dowodziły Sylwanie swojej lojalności, zasilając szeregi Porzuconych świeżymi rekrutami. Mroczna Pani wiedziała, co robi. Zawsze.

Mimo to, Nathanosa naszała przemożną chęć, aby się z nią odrobinę podrażnić. – Jeśli uważasz, że nie jestem dość silny w obecnej postaci, być może powinnaś wyznaczyć nowego czempiona.

Oczy Sylwany zapłonęły karmazynowym blaskiem. – Dlaczego musisz wszystko utrudniać? – W jej głosie zabrzmiała zaledwie nuta potęgi kryjącej się w skowycie banshee, ale wystarczyło, by zatrzęśły się arrasy na ścianach.

Jej gniew sprawił mu przyjemność, ale nie dał tego po sobie poznać.

Po chwili przepełnionej wściekłością ciszy, Mroczna Pani odzyskała spokój. – Dzięki mocy val'kyrii to ciało posłuży mi przez wiele stuleci. Lecz ty, podobnie jak inni Porzuceni, nie będziesz cieszył się taką długowiecznością. Oszczędziłabym ci rozkładu, bólu, który sama odczułam, gdy... – zaczęła.

Szybkim skinieniem głowy dał jej znać, że rozumie znaczenie niewypowiedzianych słów. Tylko jemu królowa opowiedziała historię dnia, który nastąpił po upadku Króla Licza. Poczwała wtedy, że zrealizowała już swój cel na tym świecie i zapragnęła udać się na wieczny odpoczynek, którego tak długo jej odmawiano. Jednak gdy rzuciła się na zamrożone kamienie pod Lodową Koronę, powitał ją jedynie bezlitosny głód pustki. Nathanos znał ją dobrze i wiedział, gdy prawdziwy strach chwycił ją za trzewia, nawet jeśli nie mówiła o tym głośno.

Tego dnia uratował ją pakt zawarty z val'kyriami – i z czysto egoistycznych pobudek Nathanos był za to wdzięczny. A jednak, gdyby jego królowa odeszła w niebyt tego dnia, sam nie musiałby dziś wieść tego pożałowania godnego życia. Gdyby Sylwanę skazano na wieczne potępienie w bezdennej ciemności, mógłby przynajmniej ukrócić własną egzystencję i dołączyć do niej.

– Być może – rzekł – byłoby najlepiej, gdybyś pozwoliła mi odejść.

Ogień zgasł w jej oczach. Przez ułamek sekundy mógł dostrzec błysk niebieskoszarego światła, które niegdyś w nich jaśniało. Szybko jednak wróciły do jej spojrzenia chłód i surowość. – Już po raz drugi wezwałam cię, abys mi służył, Nathanosie Heroldzie Plagi. Nie odejdziesz wolno, o ile sama ci tego nie rozkażę!

\* \* \*

*Spoglądał na świat jak przez ciężką, dymną mgłę. Nie mógł wykrzesać z siebie żadnej trzeźwej myśli, dostrzec żadnego sensu. Napędzała go nienawiść. Nienawiść zakorzeniona głęboko w zakamarkach jego umysłu, oplatająca jak winorośl jego przegniłe wnętrze. Człowieka, którym był, spotkała śmierć, jego krew użyźniała pola będące niegdyś jego domem. Nieumarłe ciało wypełniała teraz istota pozbawiona wolnej woli. Istniała jedynie po to, by służyć Królowi Liczowi.*

*Spojrzał znów na ziemię, gdzie leżało częściowo pożarte ciało jego najnowszej ofiary. Gdy oderwał zębami kawał mięsa z jej szyi, poczuł, jak do jego własnego ciała przenika ciepły strumień siły. Pamiętał ekstazę, która nim zawładnęła, kiedy ucichły jej krzyki, a także przerażenie wypalone w martwych oczach rozszarpywanej kobiety. Znów łaknął tego uczucia, więc wgryzł się w nią kolejny raz.*

*Minęły dni czy lata, odkąd powstał z martwych? To nie miało żadnego znaczenia. Upływ czasu stanowił brzemię śmiertelników, od którego uwolnił go dar jego pana. Teraz wszystko, co robił, służyło jednemu celowi – miał rozsiewać plagę żywych trupów w upadłym królestwie Lordaeronu. Pustoszyć ziemię, którą jego ludzka dusza głęboko umiłowała. Gdyby w jego sercu znalazło się miejsce na cokolwiek poza podłością, śmiałyby się długo i donośnie nad tą ironią losu.*

*Skończył się posilać i czekał. Cekał, bo tak zażyczył sobie jego pan.*

*Minęła chwila, zanim to poczuł. Plugawa magia, która ożywiła kiedyś jego własne martwe ciało, teraz zatliła się w leżącym obok nieboszczyku. Przyglądał się w zachwycie, jak fizyczna powłoka jego ofiary ulega Pladze, jak pochłania ją dobrze mu znane, przemożne pragnienie zadawania śmierci. Spojrzała na niego, a strach w jej nieumarłych oczach zastąpiła płonąca wściekłość.*

*Być może uśmiechnęłaby się, gdyby jej potwornie okaleczona szczęka nie zwisała na cienkich strzępach skóry. Może nawet odwzajemniłby uśmiech, lecz wtem jej czaszkę*

*roztrzaskał grad strzał. Pozbawione głowy ciało nowej towarzyszki runęło na ziemię, wijąc się w spazmach.*

*Obrócił się gwałtownie, aby zobaczyć napastników. Przed nim wyrosły trzy odziane w opończe postacie. Jakaś odległa część jego umysłu rozpoznała ich broń i wiedziała, jak zabójczy potrafi być łuk, ale te mgliste wspomnienia szybko uleciały. Nie obchodziły go bezużyteczne myśli ciągle zalegające w głowie nieboszczyka. Nienawiść wezbrała, domagając się, by spuścić ją ze smyczy.*

*Gdy gotował się do skoku, środkowa postać, kobieta, wyszczeła rozkaz. Jej towarzysze w tym samym momencie naciągnęli cięciwy i posłali grad ciężkich, tępo zakończonych strzał prosto w jego nogi. Runął na ziemię. Za każdym razem, gdy usiłował wstać, przyszpilali go kolejnymi strzałami. Przeklęte istoty! Nie roztrząsał powodów, dla których zakapturzone postacie po prostu go nie wykończyły, tak jak zrobiły z jego ofiarą. Pragnął jedynie wgryźć się w ciało widoczne między częściami ciemnego pancerza. Gdy zawładnie nimi Plaga, łuki nie będą im potrzebne. Ich orężem stanie się nienawiść.*

*Wciągnął powietrze, jednak ich zapach, zamiast zaostrzyć żądzę mordy, zdziwił go. Jego przeciwnicy nie byli ani ludźmi, ani elfami. Nie byli też żywi – byli martwi tak jak on. Po co takie istoty miałyby przeszkodzić mu, gdy wypełniał wolę pana? Kolejne strzały utrzymywały go w bezruchu. Coraz bardziej czuł się jak zwierzę w potrzasku, przestraszone i bezsilne.*

*– Nathanosie!*

*Kobięcy głos zawołał go po imieniu. Nie. To imię było martwe, zostało na skażonej Plagą ziemi Marris, aby tam zgnieć do cna. Bezcelne stworzenie, jak śmie choćby przywoływać wspomnienie tego człowieka! Wściekłość chwyciła go za trzewia, gorąca i dzika. Zabije tę, która mu przerwała. Pożywi się jej ciałem. Zaspokoi głód śmierci.*

*Jednak coś w głosie niewidocznej spod opończy kobiety obezwładniło go. Jego imię zabrzmiało w jej ustach jak rozkaz. Tym jednym słowem udało jej się sięgnąć głęboko pod pokłady wściekłości, która wyparła jego duszę, i zawładnąć nim.*

*Nie. Pamiętaj o nienawiści. Pamiętaj o woli pana. Skoro ci intruzi nie chcą mu służyć, muszę ich unicestwić!*

*– Nathanosie! – zawołała znowu, tym razem zawodzącym głosem, którego banshee podległe jego władcy używały w walce. Potęgą okrzyku zdumiała go. Czy przysłał ją tutaj sam Król Licz?*

*– Nathanosie! – gdy usłyszał swoje imię po raz trzeci, rozpoznał osobę, która je wypowiedziała. Natychmiast opadła mgła furii spowijająca jego umysł.*

*Ten głos. Któżby inny.*

*Sylwana.*



*Gdy zsunęła kaptur, chorobliwie żółte światło Plagowisk oświetliło jej elfie rysy. Skóra kobiety, niegdyś jasna i pełna wigoru, nabrała barwy popiołu. Włosy, które lśniły złotym blaskiem, zmarniały i zmatowiały. Bystre, niebieskoszare oczy płonęły teraz czerwienią. Nagły przypływ żalu ścisnął go za gardło – pojął, że Sylwana także zginęła. Jednak rozpacz wkrótce ustąpiła podziwowi, który wzbudził straszliwy majestat jej nowej powłoki. W poprzednim życiu zawsze uważał, że miała w sobie dostojeństwo królowej. Jako nieumarła roztaczała wokół siebie aurę godną bogini.*

*Jego wzrok spoczął na własnej dłoni, skórze usianej plamami rozkładu i sękatych palcach, unurzanych we krwi ostatniej ofiary. Przypływ wstydu stłumił zachwyt ze spotkania z Sylwaną. Myśl o tym, że zobaczyła go w takim stanie, jak ponurą, potworną karykaturę jego dawnej postaci, napełniła go obrzydzeniem. Niemalże bezwiednie uniósł ramię, aby zasłonić gnijącą twarz.*

– Sylwano – wychrypiał przez spękane usta. Jego głos brzmiał obco; uświadomił sobie, że to pierwsze słowo, które wypowiedział od swojej śmierci. Służba u Króla Licza nie wymagała od niego mówienia; wystarczyło, że posłusznie zabijał.

– *Przybyłam po ciebie, Nathanosie. Chcę, byś znów stanął u mego boku.*

*Nie był godzien, by być koło niej lub choć spoglądać na nią. Jednak jej czar i potęga całkiem go opętały. Opuścił rękę, aby ich oczy mogły się spotkać. – Widzisz przecież... widzisz, czym się stałem – jęknął. – Na co ci potrzebny taki potwór?*

*Sylwana machnęła dłonią, jakby chciała pokazać, że krwawe ochłapy walające się po ziemi nie robią na niej wrażenia. – Buduję nowe królestwo, Nathanosie, a jego mieszkańcami będą Porzuceni wyzwoleni spod jarzma Króla Licza. Staniesz się moim czempionem i razem ześlemy na niego plagę cierpienia. Arthas zapłaci za swoje zbrodnie!*

*Paskudny uśmiech wykrzywił jego sine wargi. Zdradliwa mgła zniewolenia rozsnuła się. Zacisnął pięści, myśląc o zemście, której dokona na niegdysiejszym panu. Złość i nienawiść nadal pożerały jego serce, ale wola Nathanosy znów należała do niego samego.*

*Nie, nie do niego.*

*Do niej, jak zawsze tylko do niej.*

*Mroczni tropiciele towarzyszący Sylwanie przyglądali się w napięciu, gotowi do strzału, gdy Nathanos podniósł się z ziemi. Postąpił naprzód i pochylił głowę. – Jestem twój, Mroczna Pani. Przez resztę moich dni.*

\* \* \*

Nathanos spojrział na swoją lewą dłoń. Skóry i ścięgien wciąż miał na tyle, by chwycić za łuk i nauczyć nawet najbardziej niezdarnego ucznia, jak umieścić strzałę na cięciwie. Czuł jednak, że jego siły opadły. Ciało nieumarłego zżerał nieubłagany rozkład.

Wiedział, że nadejdzie w końcu dzień, gdy jego dłoń stanie się całkiem bezużyteczna lub po postu obróci się w proch. Na co wtedy przyda się Sylwianie?

„Może i jestem gnijącą powłoką” – pomyślał. – „Ale nadal wiem, co to powinność”. –  
Czekam na twój rozkaz, moja królowo.

Sylwana skinęła głową. – Arthas nakazał kiedyś val’kyriom, aby wskrzeszały rycerzy śmierci do jego armii. Służył im do tego znacznie potężniejszy rytuał niż ten, którym przekształcają świeże trupy w Porzuconych. Val’kyrie użyją swojej mocy, aby odbudować twoje ciało. Stanie się mocniejsze... trwalsze.

– Czy nie mogą tego zrobić dla wszystkich naszych pobratymców? – spytał.

Sylwana obrzuciła spojrzeniem nieprzejednaną twarz upiornej wojowniczkii. – To ogromny wysiłek i niechętnie go podejmują. Wydaje mi się, że bez energii Króla Licza muszą zaczerpnąć nieco z własnej esencji, aby rytuał się powiódł. – Odwróciła się do niego. – Skoro jednak wyraziłam takie życzenie, zrobią to.

Podszedł bliżej do Królowej Banshee, aby lepiej widzieć jej twarz. Wmawiał sobie, że chce znów ją sprowokować dla własnej przyjemności, ale to było kłamstwo. Chodziło mu o coś więcej. – Skoro muszą zapłacić tak wysoką cenę... czemu wybrałaś mnie?

Czy to ból błysnął w jej oczach? Jeśli tak, zniknął równie szybko, jak się pojawił. Zastąpiły go determinacja i nieugięta, żelazna wola. – Już ci mówiłam. Legion zagraża nam wszystkim. U mego boku musi stanąć czempion.

Nathanos doskonale wiedział, że kierują nim niskie pobudki. Ale musiał choćby gniewnym tonem dać upust emocjom, które w nim wrzały, gdy używała tego tytułu.

– Powiedz kreaturze, żeby się pospieszyła – warknął. – Tropiciele sami się nie wyszkolą.

Sylwana posłała mu ledwie zauważalny uśmiech, po czym odwróciła się do val’kyrii i skinęła głową. Kiedy wojowniczka podeszła do zagłębienia w ścianie sali tronowej, królowa wyszeptała zaklęcie i kamienie rozsunęły się, ukazując skryty w mroku korytarz. Była to jedna z wielu tras, którymi poruszała się w sekrecie po mieście. Podejrzewał, że kilka z nich zachowała w tajemnicy nawet przed nim.

Ruszyli korytarzem, który na zmianę wił się i wiódł w prostej linii. Zaprojektowano go tak, aby zmylić potencjalnych skrytobójców. Val’kyria najwyraźniej znała drogę; być może prowadziły ją żyły mrocznej energii pulsujące przez dzielnicę magii. Po chwili moc stała się praktycznie namacalna; nawet on mógł ją poczuć.

Za ostatnim rogiem skręcili w ślepy zaułek. Wystarczyło jedno słowo i gest Sylwany, aby otworzyć przejście. Ruszyli przed siebie.

Wzdłuż ścian komnaty ciągnęły się półki wypełnione księgami i magicznymi przyborami, połyskującymi w świetle lampy. Dwie ogromne kamienne płyty spoczywały

na ołtarzach umieszczonych pośrodku pomieszczenia. Jedna była pusta. Na drugiej leżała zakneblowana postać odziana jedynie w bieliznę, szamocząc się w grubych, skórzanych więzach. Obok niej położono elementy wspaniałej, złotej zbroi, a także młot bojowy i tarczę. Nathanos dostrzegł na orężu symbol krzyżowców Argentu. Choć bezbronny, więzień nie wyglądał, jakby zrobiono mu krzywdę. Nathanos mlasnął z niesmakiem. Swego czasu schwytał i zaszlachtował niezliczonych paladynów, ale mało który zachował taki wygląd, gdy już z nim skończył.

Herold Plagi wskazał gestem mężczyźnię i odwrócił się do swojej królowej. – Co to ma być?

– Paliwo – odpowiedział mu lodowaty głos val'kyrii.

Sylwana okrążyła ołtarz, na którym leżał więzień. – Rytuał wymaga ofiary. Ciało... podobnego do twojego. – Zatrzymała się na wysokości głowy paladyna i zmierzyła Nathanaosa wzrokiem.

Czy to był jakiś test? Co niby miał tu ujrzeć? Nathanos zbliżył się do mężczyzny, aby dokładnie mu się przyjrzeć. Zauważył coś znajomego w srogich brwiach, mocno zarysowanej szczęce i hardym spojrzeniu śmiertelnika, który nie przestawał walczyć z pętami.

Uderzyło go podobieństwo do własnego wyglądu z czasów, gdy należał jeszcze do świata żywych. Narodził się na nowo tak dawno temu, że uważał te wspomnienia za stracone. Jednak widok tego człowieka był jak spojrzenie w jego własną przeszłość.

Przeszłość...

W tym momencie ich oczy spotkały się. We wzroku śmiertelnika nie dostrzegł strachu – jedynie pogardę oraz znak, że mężczyźnia go rozpoznał.

Nathanos nachylił się i wyciągnął knebel z ust więźnia. – Witaj, kuzynie.

Twarz Stefona wykrzywiła odraza. – Błagałem Światłość, żebyś umarł prawdziwą śmiercią. Żeby twoja dusza odnalazła spokój. – Jego słowa przepełniał żal, ale Nathanos usłyszał też nutę gorczy.

Zaśmiał się. – Powiedz mi, czy kiedykolwiek zrobiłeś użytek z tej złotej monety, którą podarowała ci generał tropicieli?

– Zatrzymałem ją – odpowiedział paladyn, rzucając mu wyzwanie śmiałym tonem. – Miałem ją przy sobie przez całe lata po upadku Stratholmu, po tym jak Plaga spustoszyła Lordaeron. Ciągle wierzyłem, że mój kuzyn jakoś przeżył. Często pytałem, co się z tobą stało, ale odpowiadano mi jedynie wzruszeniem ramion i niezręcznym milczeniem. Potem zaczęły do mnie docierać pogłoski o niejakim Heroldzie Plagi. Powiadano, że grasował w Marris, polując na bohaterów Przymierza, którzy usiłowali przywrócić tam ład. Obawiałem się, że to z rąk tego potwora zginął Nathanos i

poprzysiągłem zemstę. Później usłyszałem, jak dwoje przerażonych uciekinierów z Obrodziska wyszeptowało między sobą jego prawdziwe imię. Wtedy zrozumiałem, czym się stałeś.

Stefon zamilkł na chwilę. – Tego dnia wrzuciłem monetę do rzeki. – Splunął na kamienną podłogę.

Nathanos milczał. Nie było sensu kłamać. Przebywał w Marris na rozkaz swojej królowej, wabiąc jej wrogów prosto w pułapkę. Czerpał szczególną przyjemność z zadręczania elfich tropicieli z pogórza na północy – Obieżyświatów, niegdyś jego towarzyszy i podkomendnych. Pełne wyższości oburzenie nie pomogło im uniknąć straszego losu. U tych, którzy powstałi z martwych, odraza zastygła na twarzach w karykaturalnym grymasie. Nieważne, kim była jego ofiara – szlachetnym bohaterem czy bliskim druhem z przeszłości – Nathanos nigdy nie czuł ani litości, ani wyrzutów sumienia. Nie czuł niczego. Wykonywał obowiązki, do których idealnie się nadawał. Dzięki odnoszonym zwycięstwom wkupił się w łaski Mrocznej Pani. Nie potrafił sobie wyobrazić, czego więcej mógłby pragnąć.

Sylwana poklepała więźnia po ramieniu. Stefona odrzucił dotyk jej palców. – Doszły mnie słuchy, że po złożeniu przysięgi paladyna twój ukochany kuzyn patrolował Plagowiska niedaleko tego twojego gospodarstwa. Zgładził przy okazji niemało naszych żołnierzy. – Jej głos twardniał coraz bardziej, gdy pochylała się nad więźniem. – Mogłam oczywiście rozkazać moim tropicielom, żeby ukrócili jego żywot, ale dobrze się stało, że tego nie zrobiłam. Teraz szlachetny rycerz posłuży... wyższemu celowi.

– Nigdy do ciebie nie dołączę – wysyczał Stefon przez zaciśnięte zęby.

– Bez obaw, kuzynie – słowa Nathanosa zabrzmiały ciężko i ponuro. – Nie to miała na myśli.

Królowa Banshee uśmiechnęła się. – W każdym razie niezupełnie. – Sylwana nie powiedziała nic więcej i odeszła od więźnia.

Gdy Nathanos spojrzał na swojego kuzyna, kompletnie bezradnego w grubych więzach, poczuł, jak w jego piersi budzi się obce uczucie. Litość? Nie, wiedział, że nie jest do niej zdolny. Ale nie czuł do paladyna nienawiści, takiej, jaką darzył innych żywych ludzi. Wtem zrozumiał, że nieznana emocja to duma. Gdzieś w głębi przegniłego serca był *dumny*, że Stefon spełnił marzenie, które kierowało nim od wczesnego dzieciństwa. Nawet jeśli sam miał położyć mu kres.

Nathanos spojrzał na Sylwanę i zauważył, że królowa mu się przygląda. Czy to był test? Podejrzewała, że poświęci wszystko dla wyrwanej z uśpienia miłości do kuzyna? A może obawiała się, że tuż przed ostateczną decyzją ten pojedynczy, szaleńczy przebłysek człowieczeństwa popchnie go do zdrady?

Tak naprawdę nie było nad czym się zastanawiać. Zachcianki człowieka, który od dawna już nie żył, nie miały znaczenia. Nathanos Herold Plagi wypełni przysięgę, którą złożył.

– Miejsmy to wreszcie za sobą – warknął, podchodząc do pustego ołtarza.

– Światłość mnie ochroni! – zawołał Stefon, ale desperacja, która wkradła się do tych słów, obnażyła jego niepewność.

– Światłość cię tu nie odnajdzie, chłopcze – odrzekł Nathanos, utkwivszy wzrok z swojej królowej. – Ciemność pochłonie nas obu.

Valk'yrria podleciała bezszelestnie, zatrzymując się między wijącym się w pętach człowiekiem i milczącym nieumarłym. Nathanos obrzucił wojowniczkę wrogim spojrzeniem. Jego ponura twarz przypominała maskę. Pod nią jednak wrzały wątpliwości. Rozpościerając skrzydła na całą długość i unosząc ręce, val'kyria niemalże wypełniła sobą całe pomieszczenie. Gardłowym głosem wykrzykiwała zaklęcia w pradawnym języku. Brzmiały one jak straszliwa pieśń żałobna, w której ciągle pobrzmiwała moc Króla Licza. Zjawa wisiała w powietrzu nad kamiennymi płytami, a z jej dłoni pulsowało niebieskie i złote światło. Nathanos obnażył zęby. Świat wokół niego eksplodował kakofonią płomieni i bólu.

Nieopisanego bólu.

\* \* \*

Gdy fala cierpienia opadła, Nathanos odzyskał świadomość i otworzył oczy, a pokój na nowo nabrał kształtów.

Val'kyria klęczała w kącie. Istota, która dopiero co przyćmiewała wszystko swoją posturą i potęgą, teraz wydawała się mała i bezradna.

Mroczna Pani stanęła obok niego. – Jak się czujesz, Heroldzie Plagi?

– Jak trup – odpowiedział sucho. – Choć mniej martwy niż do tej pory.

Mówił głosem obcego człowieka. Dźwięk wydobywający się z jego ust nie był ani rzężeniem na wpół sparaliżowanych strun głosowych, ani dźwięcznym tonem zdrowego mężczyzny. Nie był też głosem banshee, choć pobrzmiwała w nim nuta podobnej władczości.

Oczy Sylwany zalśniły mocnym blaskiem. – Powstań, czempionie!

Podniósł się z kamiennego stołu i opuścił nogi na ziemię. Wstając westchnął cicho i podparł się ramieniem. Kończyna wydawała mu się obca. Jak dziecko odpakowujące prezent, zdarł rękawicę z lewej dłoni i przyjrzał się jej w zadziwieniu, zginając i prostując palce.

Nie wystawała żadna kość. Nie zwisały strzępy skóry ani zerwane mięśnie. Ręka, choć przecież nie pulsowała w niej krew, była cała i zdrowa. Była silna.

„Ręka godna czempiona królowej” – uznał Nathanos.

Sięgnął do policzka i dotknął go. Zamiast zasuszonej, cienkiej jak pergamin skóry, która jeszcze niedawno zwisała luźno z jego czaszki, poczuł mięsistą twarz. Przesunął palcami po szczęce, pokrytej ostrą szczecinią. Wrażenie zachwyciło go. Czuł się prawie, jakby dotknął człowieka.

Prawie.

Odwrócił się do Sylwany. – Jak wyglądam? – Starał się nadać pytaniu nonszalancki ton, jednak czekał w napięciu na jej odpowiedź.

– Cóż za próżność, Heroldzie Plagi! – W jej głosie słyszał rozbawienie, ale też nutę zadowolenia. Czy cieszyła się, że val'kyria posłusznie spełniła jej żądanie, czy po prostu radowała ją nowa zabawka? Królowa zaprowadziła go do dużego owalnego zwierciadła w ozdobnej ramie, które wisiało na ścianie. – Sam zobacz.

Jeszcze jako generał tropicieli Srebrnej Luny, Sylwana znana była ze słabości do luster. I czemuż by nie? Nawet jak na elfie standardy, środkowa z trzech sióstr Bieżywiatr odznaczała się wyjątkową urodą. Lordowie z niezliczonych szlacheckich rodzin zabiegali o jej względy. Krążyły nawet pogłoski, że książę Słońcobieżca chciał pojąć ją za żonę.

Ale martwi nie mieli pożytku z luster. Przypominały Porzuconym o ich makabrycznym wyglądzie, gnijącym ciele, które wywoływało odrazę. Nieumarli ucieleśniali nieunikniony los wszystkich żyjących istot. Pewnego dnia ich ciała również staną się pokarmem dla robactwa... chyba, że wezwie ich na swój dwór Królowa Banshee.

Sylwana kazała ustawić w swych komnatach kilka zwierciadeł. Choć klasyczna elegancja, którą niegdyś się odznaczała, zniknęła w chwili jej śmierci, jako nieumarła roztaczała wokół siebie mroczny urok, który fascynował Nathanaosa. Wiedział doskonale, że wśród jej zaciętych wrogów z królestw śmiertelników można było znaleźć hipokrytów, którzy publicznie potępiali jej rządy i gardzili Porzuconymi, ale w prywatnych rozmowach szeptali między sobą o Mrocznej Pani z daleko mniejszym obrzydzeniem. I choć nigdy nie dałaby tego po sobie poznać, podejrzewał, że w głębi nieumarłego serca Sylwana rozkoszowała się tym zainteresowaniem.

Nathanos wpatrywał się w swoje odbicie. Jego twarz była pożółkła i mizerna, ale ciało wyglądało na nietknięte. Po raz pierwszy, odkąd zginął, mógł dumnie wyprostować plecy, a nie garbić się jak wyniszczony starzec u kresu życia. Gdyby nie karmazynowy blask bijący z jego oczu, w półmroku Podmiasta można by go pomylić z człowiekiem.

Spodobała mu się ta przemiana, ale nie widział powodu, by Sylwana miała o tym wiedzieć. – Chyba się nada. – Patrzył jak jej uśmiech na moment gaśnie, ustępując

miejsca gniewnemu grymasowi, ale wkrótce na twarz królowej wrócił wyraz zadowolenia.

– Zgładzisz dla swej królowej całe zastępy demonów! – zawołała.

Instynkt podpowiadał mu, że Sylwana miała rację. Jego odnowiona siła dobrze się jej przysłuży w nadchodzącej wojnie. A po zwycięstwie, jeśli będzie miał szczęście, dużo szczęścia, oboje zginą prawdziwą śmiercią i wspólnie powitają wieczne potępienie.

Wtem uderzyło go, że nowe oblicze nie było twarzą, którą pamiętał z przeszłości. Odwrócił się, by spojrzeć na drugi stół rytualny, pusty poza odrobiną popiołu i kilkoma oleistymi plamami. Uzbrojenie paladyna, niegdyś starannie wypolerowane, leżało na ziemi, porysowane i porzrzucone w nieładzie. Nathanos powiedział sobie, że to jedynie pozostałości po zgłodzonym wrogu. Nic więcej.

– Wystarczająco długo trzymałeś się kurczowo strzępów stroju z dawnego życia – oznajmiła Mroczna Pani i wiedział, że miała rację. Dlaczego zachował brudny mundur z czasów, gdy był człowiekiem, choć przecież... dotknęła go Plaga? Czy tak bardzo na wszystko zobojętniał, że nie chciał mu się nawet założyć nowej zbroi? A może czerpał pocieszenie z tej marnej pamiątki z przeszłości?

Sylwana wskazała mu ręką skryty w cieniu kąt i dopiero teraz dostrzegł, że z tyłu komnaty trwała w gotowości mroczna tropicielka. Królowa Banshee była mądra; gdyby coś poszło nie tak z zaklęciem val'kyrii, łuczniczka mogłaby go natychmiast zastrzelić. – Anyu, odeskortuj mojego czempiona do zbrojowni i upewnij się, że dostanie pancierz licujący z jego nową funkcją.

Mroczna tropicielka w milczeniu przyjęła rozkaz, wskazując Nathanosowi gestem, aby szedł przodem. Wychodząc z komnaty, mężczyzna kiwnął głową Sylwanie, której twarz jaśniała w delikatnym świetle lampy.

Gdy pokonali już drogę powrotną przez sekretne tunele, Nathanos i Anya przeszli długim korytarzem, który wychodził na zewnętrzny obszar okalający Podmiasto. Wkraczając między inne istoty, Nathanos zauważył, że jego nowa postać niesie za sobą pewną niedogodność. Jak wszystkie zmysły, także i jego powonienie wyostrzyło się. Gdy mijali trzech Porzuconych, smród gnijących ciał niemalże przyprawił go o wymioty. Nie czuł zapachu śmierci, gdy obudził się po rytuale, ale tutaj, pośród tysięcy nieumarłych, fetor atakował jego nozdrza raz za razem.

Nathanos zebrał się w sobie i poczekał, aż przejdą, a następnie złożył sobie cichą przysięgę, że już nigdy nie da się tak zaskoczyć.

Jeśli Anya dostrzegła jego chwilę słabości, nie wspomniała o tym, gdy wreszcie się odezwała. – Już dawno nie widziałam, żeby Mroczna Pani była tak zadowolona. Gdy dowiedziała się, że val'kyrie mogą przeprowadzić ten rytuał, natychmiast posłała po ciebie.

– Nasza królowa jest mądra – odpowiedział ze skinieniem głowy. – To ciało pozwoli mi lepiej jej służyć.

Anya zaśmiała się, a ten dźwięk sprawił, że podniosły mu się włosy na karku.

– Czyżbyś miała wątpliwości? – warknął. Przynajmniej jego temperament pozostał bez zmian.

– Nie o to chodzi – wzruszyła ramionami.

– Więc o co? – niemal wykrzyknął te słowa. Jak na jego gust, mroczna tropicielka wyglądała na zbyt zadowoloną z siebie.

Westchnęła. – To prawda, czempion królowej jest teraz silniejszy. Ale to nie tego pragnęła najbardziej.

Nathanos zatrzymał się i spojrzał jej w twarz. Zmrużył oczy, zagniewany, że kobieta unika odpowiedzi. – Mów, o co ci chodzi.

Usta Anyi wykrzywiły się w bezczelnym uśmiechu. – Sylwana postąpiła kiedyś wbrew swojemu królestwu, aby mianować cię lordem tropicieli. Potem przeczesła całe Plagowiska, żeby wydrzeć się spod jarzma Plagi. A dziś wykorzystwała swój najcenniejszy zasób po to, by przywrócić ci siłę. Zastanów się nad tym, Heroldzie Plagi, i wytłumacz mi, dlaczego ktoś obdarzony twoim sprytem nie potrafi połączyć prostych faktów.

Nathanos zmierzył ją nienawistnym spojrzeniem, zaciskając szczęki. Szyderstwo od razu zniknęło z jej twarzy. Cóż za niemądra tropicielka! Królowa nie zaprzętała sobie głowy tak błahymi sprawami.

On zresztą też nie. Nieważne, jakie uczucia targały jego sercem, gdy jeszcze biło; teraz było w nim miejsce tylko na wściekłość i pogardę. Był Heroldem Plagi, czempionem Królowej Banshee. Prawie się uśmiechnął na myśl o spustoszeniu, które zaprowadzi w szeregach jej wrogów.

Ruszył przed siebie. Anya podążyła za nim, milcząc pokornie.

Odległy brzęk stali uderzającej o stal przerodził się w kakofonię dźwięków, gdy wkroczyli do dzielnicy wojennej. Trenerzy wykrzykiwali rozkazy, a dopiero co ożywieni rekruci atakowali bezładnie kukły szkoleniowe, a zdarzało się, że i schwytanego żołnierza Przymierza. Nathanos spędził niegdyś niezliczone godziny wykuwając z podobnych żółtodziobów zatwardziały chłonie. Teraz wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby ocenić tę grupę jako wyjątkowo żalosną zbieraninę. Skrzywił się, przysięgając sobie, że wkrótce skoryguje ich niedociągnięcia, i podążył dalej w kierunku zbrojowni.

Wzdłuż kamiennych ścian pomieszczenia wyłożono rzędy wysokich stojaków, a na każdym z nich wisiały części pancerza i broń. Nathanosa zainteresowała zbroja łącząca



metal ze skórzanymi elementami, taka, która zapewniłaby odpowiednią ochronę bez utraty swobody ruchów. Wybrał pancerz w kolorach zieleni i szarości, aby pozostać niewidzialnym zarówno w lesie, jak i w cieniu.

Gdy już miał wyjść, jego wzrok przykuło światło lampy odbite w wypolerowanym metalu zbroi upchniętej na zagraconym stojaku. Gdy odsunął na bok parę innych pancerzy, jego oczom ukazał się porządnie wykuty napierśnik, czysty i dobrze zachowany. Powrócił myślami do rytuału i jego pokłosa. Do wyboru, którego dokonał.

Poczuł, jak wzbiera w nim coś obcego, niepokojącego. Ukłucie emocji nieobecnej od dnia, w którym zginął. Przekonany, że to słabość właściwa śmiertelnikom, nie zauważył nawet, jak wytrwale podążała jego tropem, aby wreszcie wgryźć się w jego trzewia.

Tym uczuciem był żal.